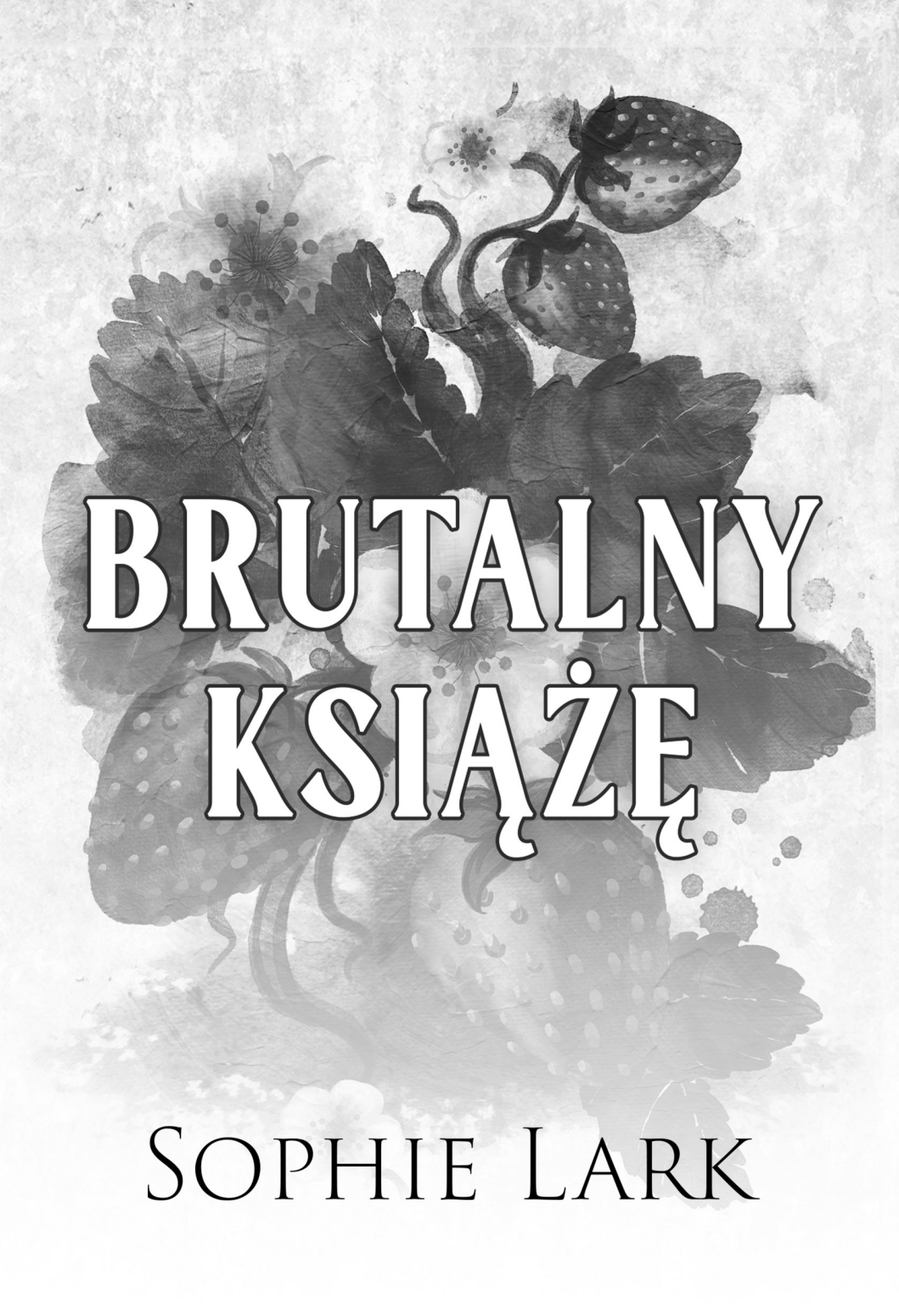


A watercolor illustration in shades of gray and white, featuring several strawberries and large, dark leaves. The strawberries are depicted with small seeds and some are shown with green stems and leaves. The leaves are large and have a serrated edge. The background is a light, textured gray with some darker spots and splatters, giving it a painterly feel.

BRUTALNY KSIĄŻĘ

SOPHIE LARK

SOPHIE LARK

BRUTALNY KSIĄŻĘ

BRUTALNE DZIEDZICTWO #1

TLUMACZENIE
KATARZYNA DYREK

Tytuł oryginału: *Brutal Prince*

Copyright © Sophie Lark 2020

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne, Oświęcim 2025

All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

II wydanie

Redakcja: Kamila Reclaw

Korekta: Joanna Błakita, Natalia Szoppa, Wiktoria Garczewska

Skład i łamanie: Paulina Romanek

Oprawa graficzna książki: Paulina Klimek

Ilustracje: Line Maria Eriksen

Projekt okładki: Emily Wittig

Druk i oprawa: Abedik SA

ISBN 978-83-8418-309-0 · Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne · Oświęcim 2025

Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwoniezwykle.pl
@ niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl
f Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne
📷 [niezwyklezagraniczne](#)
X [Wyd_NieZwykle](#)
🎵 [wydawnictwoniezwykle](#)

OSTRZEŻENIE

To nie jest żaden książę z bajki...

Callum Griffin to dziedzic irlandzkiej mafii. Bezwzględny. Arogancki. I chcący mnie zabić.

Znajomość z nim nie zaczęła się najlepiej, bo wznieciłam w jego domu (naprawdę niewielki) pożar. Nasze rodziny wierzą, że tylko małżeństwo zapobiegnie wzajemnej i otwartej wojnie. Mnie się jednak wydaje, że jedynym wyjściem z tej sytuacji może być zamordowanie go we śnie.

Wszystko byłoby znacznie prostsze, gdyby Callum nie był tak piekielnie przystojny. Zamknęłam jednak przed nim serce, bo nawet jeśli zostanę zmuszona, by za niego wyjść...

Nie pokocham tego brutalnego księcia.

Brutalny książę to wspaniały początek epickiego cyklu „Brutalne dziedzictwo”, ale stanowi powieść stand-alone. To mroczny romans mafijny ze szczęśliwym zakończeniem i bez cliffhangerów. Zawiera wyjątkowo pikantne sceny łóżkowe i jest przeznaczony tylko dla dorosłych czytelników!

Dedykuję tę książkę wszystkim kobietom, które powiedziały mi, że Aida dała im siłę. Główna bohaterka tej książki to ten niezłomny duch w każdej z nas. To determinacja, żeby śmiać się nawet wtedy, gdy wszystko wokół staje się trudne, i aby bez względu na okoliczności zawsze pozostawać sobą. Bądźcie niepokorne, moje kochane.

*Całuję
Sophie Lark*

PLAYLISTA

1. Nico Collins – *Hate Me*
2. SAYGRACE – *You Don't Own Me*
3. Selena Gomez – *Boyfriend*
4. Miley Cyrus – *Midnight Sky*
5. Miranda Lambert – *Somethin' Bad*
6. Ava Max – *Sweet but Psycho*
7. Rihanna – *Love the Way You Lie*
8. The Struts – *Ballroom Blitz*
9. The Civil Wars – *Poison & Wine*
10. Glen Hansard – *Falling Slowly*
11. Adele – *Make You Feel My Love*
12. Erik Satie – *Gnossienne: No. 1*

Muzyka stanowi ważną część mojego procesu twórczego. Jeśli podczas czytania znajdziesz symbol nutki, piosenka będzie pasować do opisywanej sceny niczym ścieżka dźwiękowa w filmie.

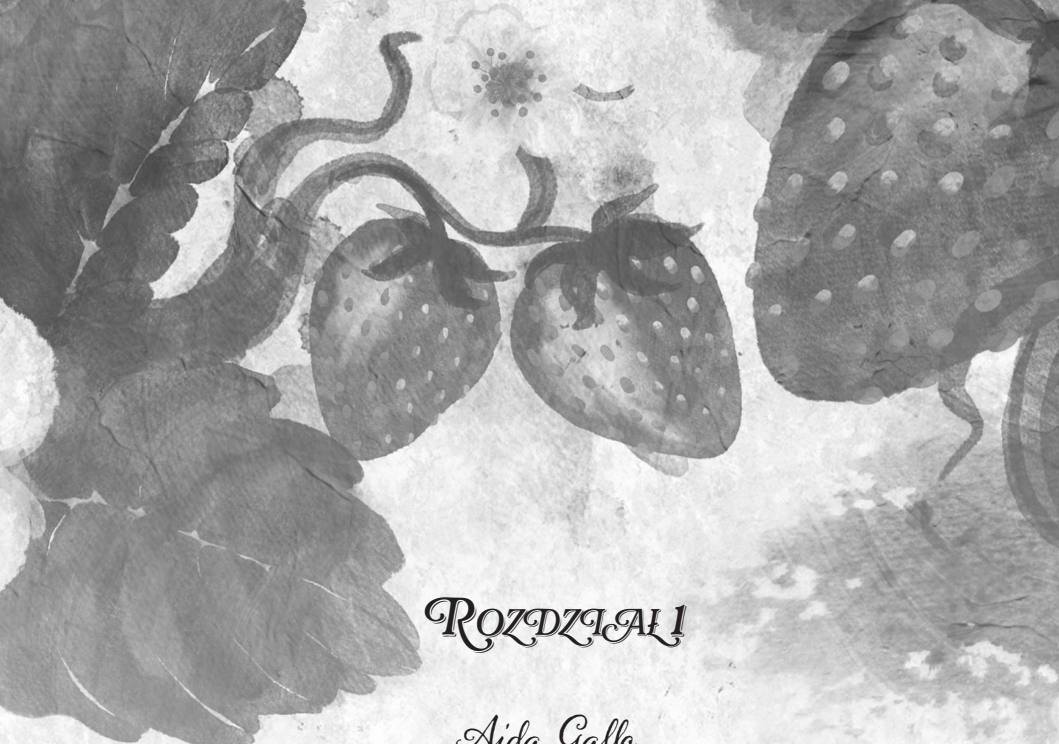
THE GALLOS



THE GRIFFINS







ROZDZIAŁ I

Aida Gallo

Nad jeziorem wystrzeliwują sztuczne ognie, które rozkwitają na czystym, nocnym niebie niczym kwiaty, a następnie opadają jak błyszczące płatki i osiadają na tafli wody.

Ojciec wzdryga się już przy pierwszym wybuchu. Nie znosi tego, co głośne i nieprzewidywalne. Nic dziwnego, że aż tak działał mu na nerwy – potrafię dać do wivatu, nawet kiedy staram się być grzeczna.

Dostrzegam, że jego rozjaśniona niebiesko-żółtym światłem twarz się krzywi. Tak, to na pewno ta sama mina, którą robi, gdy patrzy na mnie.

– Wolisz zjeść w środku? – pyta go Dante.

Mamy dziś ciepłą noc, więc wszyscy siedzimy na tarasie. Chicago to nie Sycylia – tutaj posilamy się na zewnątrz, ilekroć to możliwe. Mimo to, gdyby nie szum ruchu ulicznego poniżej, można by pomyśleć, że przebywa się we włoskiej winnicy. Stół nakryto rustykalną zastawą, którą dziadkowie przywieźli

ze starego kraju, a pergolę nad naszymi głowami porasta gęsta winorośl lisia, którą papa zasadził, aby dawała cień. Nie można wyprodukować z niej wina, ale świetnie się nadaje na dżemy.

Ojciec kręci głową.

– Tutaj jest dobrze – rzuca zwięźle.

Dante burczy coś pod nosem i wraca do opychania się kurczakiem. Jest tak rosły, że widelec, który trzyma, wygląda jak dziecięca zabawka. Zawsze zgarbiony nad talerzem pochłania posiłki, jakby od tygodni nie miał nic w ustach.

Dante, jako najstarszy, zawsze zajmuje miejsce po prawicy ojca. Nero siedzi po lewej, a obok niego Sebastian. Wyznaczone dla mnie krzesło znajduje się u stóp stołu, gdzie, gdyby żyła, siedziałaby nasza mama.

– Co to za święto? – docieka Sebastian, kiedy niebo rozświećla kolejna salwa fajerwerków.

– To nie jest żadne święto, raczej urodziny Nessy Griffin – mówię mu.

Griffinowie mieszkają w samym sercu Gold Coast, tuż nad jeziorem. Urządzili pokaz sztucznych ogni tylko po to, żeby całe miasto wiedziało, że ich mała księżniczka wydaje przyjęcie – jakby nie wystarczyło, że reklamują to wydarzenie niczym skrzyżowanie olimpiady z ceremonią wręczenia Oscarów.

Sebastian nie ma jednak o tym pojęcia, bo nie interesuje go nic poza koszykówką. Jest najmłodszym z moich braci, ale za to najwyższym. Otrzymał pełne stypendium sportowe na Uniwersytecie Stanowym w Chicago i gra tak dobrze, że kiedy odwiedzam go na kampusie, widzę, że dziewczyny spoglądają na niego jak na jakiegoś celebrytę, śmieją się do niego, a co odważniejsze proszą go o autograf na koszulkach.

– A dlaczego nas nie zaprosili? – rzuca z przekąsem Nero.

Jasne, że nas nie uwzględnili, bo cholernie nienawidzimy Griffinów, a oni nas. Zaproszeni goście zapewne zostali skrupulatnie wyselekcjonowani – same szczyty, politycy i wszyscy ci,

których wybrano z powodów wizerunkowych albo ze względu na wpływy. Wątpię, aby Nessa знаła choć połowę z tych osób. Nie żebym jej współczuła. Słyszałam, że jej ojciec zapłacił, żeby na imprezie śpiewała Selena Gomez. Jasne, że to nie Halsey, ale i tak całkiem spoko.

– Co z tym wieżowcem na Oak Street? – Papa kieruje pytanie do Dantego i precyzyjnie kroi kawałek kurczaka w parmezanie.

Doskonale zdaje sobie sprawę, co z budową, bo śledzi każdy ruch firmy Gallo Construction, ale zmienia temat, bo sama myśl o Griffinach, którzy piją szampana i dobijają interesów z chicagowską elitą, działa mu na nerwy.

Mnie tam nie obchodzi, co wyprawiają Griffinowie, choć nie znoszę, gdy ktoś dobrze się bawi beze mnie.

Ojciec i Dante kontynuują rozmowę o wieżowcu, a ja szepczę do Sebastiana:

– Powinniśmy tam skoczyć.

– Niby dokąd? – pyta i łąpczywie wychyla całą szklanek mleka.

Wszyscy pijemy wino, ale on akurat pragnie pozostać w idealnej formie do kozłowania i przysiadów czy co tam jego drużyna kościstych dryblasów wyczynia na tych ich treningach.

– Powinniśmy iść na tę imprezę – mówię ściszym głosem.

Od razu ożywia się jednak Nero, który zawsze pisze się na szemrane sytuacje.

– Kiedy?

– Od razu po kolacji.

– Przecież nie ma nas na liście gości – protestuje Sebastian.

– Jezu. – Przewracam oczami. – Czasem się zastanawiam, czy ty na pewno jesteś z tej rodziny. Na czerwonym też nie przechodzisz przez jezdnię?

Dwaj najstarsi bracia to prawdziwi gangsterzy. Od brudnej roboty są właśnie oni. Niemniej Sebastian wierzy, że trafi do NBA. Egzystuje w zupełnie innej rzeczywistości niż my wszyscy. Chce być porządnym chłopakiem, przestrzegającym prawa

obywatelem. I to chyba jednak do niego jest mi najbliżej – zarówno w latach, jak i mentalnie, choć kocham wszystkich swoich braci.

– No jasne, że idę z wami – wtrąca z uśmiechem.

Dante obrzuca go surowym spojrzeniem. Niby dalej rozmawia z ojcem, ale doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że coś knujemy.

Kończymy kurczaka, więc Greta przynosi panna cottę. Kobieci jest naszą gosposią chyba od stu lat. Po Sebastianie to właśnie ją ubóstwiam najbardziej. Jest krępa, urocza, z rudymi, siwiejącymi włosami.

Przygotowała mi deser bez malin, bo wie, że nie znoszę pestek. Zawsze z ochotą mnie rozpieszcza. Gdy stawia przede mną talerzyk, obejmuję ją i całuję w policzek.

– Zaraz upuszczę tę tacę! – wytyka, próbując się ode mnie uwolnić.

– Przecież nigdy ci się to jeszcze nie zdarzyło.

Ojciec jak zwykle je deser całe pieprzone wieki. Sący wino, peroruje o związkach zawodowych elektryków. Jestem pewna, że Dante specjalnie go zagaduje, by nas wszystkich wkurzyć. Papa oczekuje, że na tych naszych formalnych kolacjach pozostaniemy w pełnym składzie do ostatniego kęsa. Nie wolno nam używać przy stole telefonów, co stanowi istną torturę, bo czuję, że komórka, którą mam w kieszeni, nieustannie wibruje – to pewnie wiadomości, choć nie wiem od kogo. Mam tylko nadzieję, że nie od Olivera.

Już trzy miesiące temu zerwałam z Oliverem Castle'em, ale on nadal tego nie załapał. Jeśli się ode mnie nie odczepi, chyba będę musiała przywalić mu młotkiem w łeb.

Papa nareszcie kończy jeść, więc zbieramy tyle talerzy i szklanek, ile jesteśmy w stanie unieść, i wkładamy je do zlewu.

Ojciec udaje się do gabinetu na drugi kieliszek, a ja z Sebastianem i Nerem wymykamy się na dół.

Nie zakazano nam wychodzić w sobotnie wieczory. W końcu jesteśmy dorośli – chociaż ja ledwie – ale nie chcemy, żeby papa dopytywał, dokąd się wybieramy.

Pakujemy się do auta Nera, bo to wymuskany chevrolet bel air z pięćdziesiątego siódmego, wręcz idealny do jazdy z opuszczonym dachem.

Środkowy brat uruchamia silnik, a w snopie światła z reflektorów samochodu dostrzegamy Dantego, który stoi tuż przed maską, krzyżując ręce na piersi. Wygląda jak Michael Myers, bohater horroru *Halloween*, tuż przed masakrą.

Sebastian się wzdryga, a ja cicho piszczę.

– Blokujesz wyjazd – rzuca oschle Nero.

– To głupi pomysł – stwierdza Dante.

– A niby dlaczego? – pyta, udając niewiniątko, nawet jeśli nikt na tej planecie nie da się na to nabrać, jak i na nic innego w jego wykonaniu. – Przecież jedziemy się tylko przewietrzyć.

– Poważnie? – pyta Dante, nie schodząc z drogi. – Na Lake Shore Drive?

Nero postanawia zmienić taktykę.

– A nawet jeśli, to co z tego? Przecież to tylko szesnaste urodziny jakiejś laski.

– Nessa ma już dziewiętnaście lat – poprawiam go.

– Dziewiętnaście? – Nero z niesmakiem kręci głową. – To po co oni w ogóle... A zresztą nieważne. Pewnie to jakaś durna irlandzka tradycja albo kolejny pretekst, żeby się pokazać.

– Możemy już jechać? – pyta Sebastian. – Nie chcę zarywać nocy.

– Wsiadaj albo spieprzaj z drogi! – rzucam do Dantego, który przygląda nam się jeszcze przez chwilę, a potem wzrusza ramionami.

– Dobra. Ale jadę z przodu.

Bez sprzeciwu przechodzę do tyłu i zwalnim mu miejsce. To niewielka cena za fakt, że brat razem z nami wbije na tę imprezkę.

Jedziemy przez LaSalle Drive, ciesząc się ciepłą, letnią aurą. Nero ma czarne serce i podły charakter, czego jednak nie da się poznać po stylu jego jazdy. W aucie jest spokojny jak lilia wodna na tafli jeziora – prowadzi ostrożnie.

Może dzieje się tak dlatego, że kocha tę swoją brykę, bo dopieszczal ją chyba przez jakieś tysiąc godzin. Albo dlatego, że jazda to jedyne, co prawdziwie go odpręża. Tak czy inaczej, lubię obserwować go, gdy prowadzi, mrużąc oczy jak kot, z jedną ręką na kierownicy, gdy wiatr rozwiewa mu ciemne, gładkie włosy.

Do Gold Coast nie mamy daleko. Ściśle rzecz biorąc, to niemal po sąsiedzku – nasza dzielnica Old Town leży bezpośrednio na północ. Jednak pomimo tej bliskości to dwa różne światy. Owszem, na swój sposób oba są eleganckie – z naszego domu jest widok na Lincoln Park, a ich rezydencja stoi tuż przy jeziorze. Jednak ta nasza, cóż, jak sama nazwa wskazuje, jest cholernie stara. Budynek postawiono w epoce wiktoriańskiej, a ulica jest cicha i obsadzona ogromnymi, starymi dębami. Mieszkamy nieopodal kościoła Świętego Michała, a ojciec naprawdę wierzy, że ocalał podczas wielkiego pożaru w Chicago tylko dlatego, że sam Bóg go ochronił.

W dzielnicy Gold Coast mieszkają nowobogaccy. Postawiono tam ekskluzywne sklepy, restauracje, zamieszkali tam najzamożniejsi w tym mieście. Przejeżdżając tamtędy, człowiek czuje się, jakby przenosił się w czasie o trzy dekady do przodu.

Z Sebastianem i Nerem planowaliśmy włamać się do posiadłości Griffinów od tyłu i może ukraść stroje pracowników obsługi. Dante jednak nie godzi się na takie wygłupy. Jak zwykle w takich sytuacjach wręcza ochroniarzowi pięć stów, żeby „znalazł” odpowiednie nazwiska na liście gości, a facet od razu nas wpuszcza.

Wiedziałam, jak wygląda rezydencja Griffinów, jeszcze zanim się tu znalazłam, bo kiedy kilka lat temu ją kupili, zrobił się przy

tym niezły szum. W tamtym okresie była to najdroższa nieruchomości mieszkalna w Chicago. Tysiąc czterysta metrów kwadratowych za skromne dwadzieścia osiem milionów dolarów.

Ojciec się wtedy tylko skrzywił i powiedział, że Irlandczycy jak zwykle muszą się popisywać kasą. „Irlandczyk może włożyć garnitur za tysiąc dwieście dolarów, ale w kieszeni nie będzie miał nawet na piwo”.

Griffinów jednak stać na sporo piwa. Mają tyle kasy, że mogą puszczać ją z dymem, co dosłownie teraz robią, urządzając pokaz fajerwerków, który mógłby zawstydzić nawet ten z Disneylandu.

Mam gdzieś kolorowe iskry – chcę się napić tego drogiego szampana, który roznoszą kelnerzy, a potem rzucę się na cokolwiek, co piętrzy się na szwedzkim stole. Zamierzam przed wyjściem zjeść tyle krabów i kawioru, ile sama ważę, czym być może znacząco uszczuplę budżet tych nadętych dupków.

Impreza odbywa się na rozległym trawniku. To idealna noc na takie wydarzenie – następny dowód na szczęście Irlandczyków. Wszyscy się śmieją, rozmawiają, objadają, a nawet tańczą, chociaż nie śpiewa Selen Gomez, tylko gra jakiś DJ.

Może powinnam się była wystroić. Nie ma tu dziewczyny bez błyszczącej sukienki i szpilek. Jednak obcasy okazałyby się cholernie niewygodne na miękkiej trawie, więc cieszę się, że mam na sobie sandały i spodenki.

Widzę, że Nessę Griffin otaczają goście, którzy gratulują jej monumentalnego osiągnięcia, jakim jest przetrwanie całych dwiętnastu lat. Solenizantka ma na sobie śliczną, kremową, letnią sukienkę – prostą, w stylu boho. Jasnobrązowe włosy opadają jej luźno na ramiona, a lekko opalona cera i piegi na nosie podpowiadają mi, że cały ranek spędziła nad jeziorem. Rumieni się z powodu otrzymywanej uwagi, wygląda na uroczą i zadowoloną.

Szczerze mówiąc, Nessa jest najlepsza ze wszystkich Griffi-nów. Chodziłyśmy do tego samego ogólniaka. Nie przyjaźniłyśmy się, bo była rok młodsza i trochę zbyt grzeczna, ale sprawiała wrażenie całkiem sympatycznej.

Za to jej siostra...

Widzę, że Riona wydziera się w tej chwili na jakąś kelnerkę, aż biedna dziewczyna zalewa się łzami. Riona Griffin ma na sobie jedną z tych sztywnych, dopasowanych sukienek, która bardziej pasowałaby do sali konferencyjnej niż na przyjęcie w ogrodzie. Jej fryzura wygląda na jeszcze ciaśniejszą niż jej kiecka. Jej charakter nie pasuje do ognistych rudych włosów – wydaje się, że matka natura chciała z niej zrobić żywiołową osobę, ale Riona odparła: „Nie zamierzam poświęcać w życiu żadnej przeklętej chwili na zabawę, więc bardzo ci dziękuję”.

Lustruje gości, jakby chciała oznaczyć tych najważniejszych. Odwracam się na pięcie, żeby nałożyć jedzenie na talerz, nim mnie wypatrzy.

Bracia od razu po przyjeździe tu się rozproszyli. Widzę, że Nero zagaduje jakąś ładną blondynkę na parkiecie. Dante trafił do baru, bo zapewne gardzi eleganckim szampanem. A Sebastian zniknął bez śladu – co nie jest łatwe, gdy ma się niemal dwa metry wzrostu. Domyślam się, że spotkał znajomych – każdy go lubi, więc ma przyjaciół dosłownie wszędzie.

A ja? Muszę siusiu.

Widzę, że Griffinowie sprowadzili kilka przenośnych toalet i ustawili je dyskretnie na tyłach posesji, za tiulową zasłoną. Nie zamierzam jednak korzystać z plastikowej budki, nawet jeśli jest luksusowa. Pójdę się wysikać jak człowiek i skorzystam z sedesu, na którym sadzają własne królewskie tyłki. W dodatku będę miała sposobność, żeby rozejrzeć się po domu.

To wymaga ode mnie niemałego kombinowania. Wejścia pilnuje sporo ochroniarzy, a ja nie mam kasy, żeby ich przekupić.

Kiedy jednak przewieszam lnianą serwetkę przez przedramię, kradnę tacę, którą porzuciła zapłakana kelnerka, i zgarniam na nią kilka pustych kieliszków, jak gdyby nigdy nic mogę wejść do kuchni dla personelu.

Niczym mała, grzeczna kelnerka odkładam naczynia do zlewu, a potem czmycham w głąb domu.

O ja pierniczę, ale cholernie ładna chata. Zdaję sobie sprawę, że mamy być zaciekłymi wrogami i tak dalej, ale naprawdę trudno nie docenić wnętrza, które bije na głowę to, co pokazywali w telewizji w programie *Domy marzeń* – i to nawet w tych zagranicznych wersjach.

Wnętrze zaskakuje prostotą – kremowe gładkie ściany i surowe drewno, a także niskie, nowoczesne meble oraz stylizowane na przemysłowe lampy.

Dostrzegam tu również mnóstwo prawdziwej sztuki – obrazy, które składają się z kolorowych prostokątów, a także rzeźby złożone z przeróżnych geometrycznych kształtów. Nie jestem zupełną ignorantką, wiem, że obraz, na który patrzę, namalował Rotho lub ma na takowy wyglądać. Zdaję sobie również sprawę, że nawet gdybym poświęciła sto lat i cały wór pieniędzy, nie zdołałabym sprawić, aby mój dom prezentował się aż tak ładnie.

Teraz zdecydowanie się cieszę, że zakradłam się do wnętrza na siku.

Trochę dalej w korytarzu natrafiam na łazienkę, która oczywiście również wygląda jak z luksusowego katalogu – lawendowe mydélko, miękkie, puszyste ręczniki, a także woda ustawiona w kranie na idealną temperaturę – ani za ciepłą, ani za zimną. Któż może wiedzieć, czy w tak wielkim domostwie nie jestem pierwszym człowiekiem, który w ogóle tu wszedł. Pewnie każdy członek tej rodziny ma własną łazienkę. Właściwie to podejrzewam, że kiedy wypiją za dużo, to błędzą po tym domu jak po labiryncie.

Kończę sikać z przekonaniem, że natychmiast muszę wrócić na zewnątrz. Przeżyłam już swoją małą przygodę, a nie ma sensu przeginać.

Zamiast jednak wyjść, łapię się na tym, że wchodzę po szerokich, krętych schodach na pierwsze piętro.

Parter wydawał się zbyt formalny i sterylny – jak w domu modelowym. Chcę jednak zobaczyć pomieszczenia, w których ci ludzie mieszkają na co dzień.

Po lewej stronie schodów trafiam na sypialnię, która najprawdopodobniej należy do Nessy. Pokój jest delikatny, kobiecy, pełen książek, pluszaków i przyborów do malowania. Na szafce nocnej leży ukulele, a spod łóżka wystaje kilka par porzuconych w pośpiechu trampek. Jedynie wiszące na kłamce baletki wyglądają na mocno znoszone. Zniszczone wręcz, bo na satynowych czubkach widać dziury.

Naprzeciwno pokoju Nessy znajduje się ten należący najpewniej do Riony. Jest znacznie większy i nieskazitelny. Nie widzę nic, co naprowadziłoby mnie na zainteresowania kobiety, na ścianach wiszą tylko azjatyckie akwarele. Czuję się lekko zawiedziona faktem, że Riona nie ma tu półek z medalami i trofeami. Zdecydowanie by do niej pasowały.

Za pokojami dziewczyn znajduje się główna sypialnia. Nie zamierzam tam wchodzić. Wydaje się to całkowicie niewłaściwe. Nawet myszkując po cudzym domu, nie można przekraczać pewnych granic.

Odwracam się i przechodzę korytarzem w przeciwnym kierunku, aż trafiam do okazałej biblioteki.

Właśnie dla takich tajemnic weszłam do tego domu.

Co też takiego czytają Griffiniowie? Czy to same klasyki w skórzanych oprawkach, a może po cichu fascynują się wampirami od Anne Rice? Zdołam się przekonać tylko w jeden sposób...

Najwyraźniej gustują w biografiach, książkach o architekturze i oczywiście w klasyce. Mają półkę poświęconą słynnym

irlandzkim pisarzom jak James Joyce, Jonathan Swift, William Butler Yeats oraz George Bernard Shaw. Nie ma Anne Rice, ale przynajmniej Bram Stoker się tu znalazł.

O proszę, widzę nawet *Dublińczyków*, i to z autografem. Mam gdzieś, co ludzie mówią – nikt nie rozumie tej pieprzonej książki. Wszyscy Irlandczycy grają w tę samą grę i udają, że to literacki majstersztyk, a dla mnie to czysty bełkot.

Oprócz regałów po sam sufit w bibliotece pełno jest ciężkich, skórzanych foteli, z których trzy ustawiono przed dużym, kamiennym kominkiem. Choć na zewnątrz wydaje się dość ciepło, w palenisku trzaska niewielki ogień. Nie widzę gazowych płomieni, lecz prawdziwe brzozowe polana, które w dodatku ładnie pachną. Nad kominkiem zawieszono portret ślicznej kobiety, na półce pod nim ustawiono kilka bibelotów, w tym zegar powozowy i klepsydrę. Pośrodku leży stary zegarek kieszonkowy.

Biorę go do ręki i orientuję się, że jest zaskakująco ciężki, a zamiast chłodu metalu czuję na palcach jego ciepło. Nie umiem orzec, czy to mosiądz, czy złoto. Zauważyłam, że z dewizki została tylko część, jakby w połowie ją urwano. Na obudowie widać grawer, jednak tak się stał od noszenia, że nie jestem w stanie stwierdzić, co niegdyś przedstawiał. I nie potrafię otworzyć.

Majstruję przy mechanizmie, gdy słyszę na korytarzu ciche grzechotanie. Pospiesznie wsuwam zegarek do kieszeni i wskazuję za jeden z foteli – ten najbliższy kominka.

Do biblioteki wchodzi mężczyzna. Jest wysoki, ma brązowe włosy i wygląda na jakieś trzydzieści lat. Nosi skrojony na miarę garnitur i wydaje się niesłychanie zadbany. Jest przystojny, ale w ten zimny sposób. Wygląda jak ktoś, kto wypchnąłby cię z szalupy ratunkowej, gdybyś się nie mieścił. Albo nawet za to, że nie umyłeś zębów.

Nigdy wcześniej go nie widziałam, ale jestem niemal pewna, że to Callum Griffin – najstarszy z rodzeństwa. A to ostatnia osoba, która powinna zastać mnie w tej bibliotece.

Niestety wygląda na to, że nie zamierza stąd szybko wychodzić. Siada w fotelu stojącym niemal naprzeciwko tego, za którym się ukrywam, i przegląda na telefonie e-maile. Trzyma szklaneczkę z whisky i powoli sący. To właśnie ten dźwięk słyszałam – brzęk kostek lodu.

Za fotelem jest bardzo niewygodnie. Dywan na parkiecie wcale nie jest miękki, a ja zwijam się w kłębek, żeby po bokach mebla nie wystawały mi stopy czy głowa. W dodatku tak blisko kominaka jest mi cholernie gorąco.

Jak, do diabła, mam stąd wyjść?

Callum nie przestaje pić whisky i czytać. Pociąga łyk, scrolluje dalej, i tak w kółko. Jedynym dźwiękiem w pomieszczeniu jest trzask brzoźowych szczap.

Jak długo jeszcze będzie tu siedział?

Nie mogę się tu kulić w nieskończoność. Za chwilę bracia zaczynają mnie szukać. Zaczynam się dusić i pocić – od gorąca i z nerwów. Dźwięk kostek lodu w szklance Calluma kojarzy mi się z chłodem i orzeźwieniem. Boże, ześlij mi coś do picia, a także wyjście ewakuacyjne.

Ile on ma tych cholernych e-maili do przeczytania?

Wkurzona i poirytowana zaczynam obmyślać plan. Wpadam na prawdopodobnie najgłupszy z możliwych. Sięgam za siebie i łapię za frędzel zasłony. Jest gruby, złoty i wiąże zielony aksamit. Jeśli maksymalnie go naciągnę, zdołam wsadzić jego koniec do rozpalonego kominka. Chciałabym, żeby zaczął się tlić, co przyciągnie uwagę Calluma, a ja przemknę przy drugim fotelu do drzwi. Sprytne, nie ma co.

Ale ponieważ to nie jest żadna cholerna powieść detektywistyczna dla nastolatków, wszystko dzieje się błyskawicznie. Płomienie natychmiast pożerają sznur, zupełnie jakby nasączono go benzyną. Parzą mi przy tym rękę. Upuszczam frędzel, który wraca do zasłony, a ta zapala się, jakby była z papieru. W okamgnieniu ogień sunie aż pod sufit.



Okazuje się, że mój plan się sprawdza, bo Callum Griffin zostaje należycie rozproszony. Krzyczy i zrywa się na równe nogi, aż wywraca fotel. Jednak z zasłoną płonie również cała moja subtelność, bo natychmiast muszę opuścić swoją kryjówkę i biegiem uciec z pomieszczenia. Nawet nie wiem, czy Callum mnie widział, ale szczerze mówiąc, nie interesuje mnie to.

Wydaje mi się, że powinnam poszukać gaśnicy, wody czy czegoś w tym stylu. Myślę też, że powinnam spieprzać stąd w podskokach.

I właśnie ten pomysł wygrywa – zbiegam na dół ile sił w nogach.

Na parterze wpadam na kogoś i niemal go przewracam. To Nero, za którym idzie tamta śliczna blondynka. Kobieta jest rozczochrana, a mój brat ma na szyi ślad po szmince.

– Jezu. To nowy rekord? – pytam z niedowierzaniem, bo przecież poznał ją jakieś osiem sekund temu.

Nero tylko wzrusza ramionami, a na jego diabelnie przystojnej twarzy maluje się lekki uśmieszek.

– Pewnie tak.

Ponad poręczą spływa dym. Callum Griffin krzyczy z biblioteki.

Nero patrzy w górę, na schody.

– Co się tu dzieje...?

– Nieważne – mówię, chwytając go za rękę. – Musimy stąd wyjść.

Ciągnę go w stronę kuchni dla personelu, ale sama nie do końca stosuję się do własnego pomysłu, by uciekać, i zerkam przez ramię. Widzę, że na szczycie schodów stoi Callum Griffin i patrzy na nas z morderczym wyrazem twarzy.

Pędzimy przez kuchnię, przewracając tacę z tartinkami, następnie wybiegamy na zewnątrz.

– Znajdź Sebastiana, a ja poszukam Dantego – poleca Nero. Bez słowa porzuca blondynkę i rusza przez trawnik.

– Co, do cholery?! – woła dziewczyna.

Biegnę w przeciwnym kierunku, wypatrując mojego wysokiego, szczupłego brata.

Słyszę, że w domu włącza się alarm przeciwpożarowy.